

## Przypowieśćka o politycznym hazardziście [FELIETON]

Dopisanie sobie przez Polskę raz na dwa lata tylko jednego wirtualnego budżetu, robi w świecie wrażenie roztropnej oszczędności. Stąd bierze się mur niezrozumienia, jaki otacza dziś starego profesora Balcerowicza, donkiszoteryjnie walczącego o swoje niegdysiejsze pryncypia – pisze Jan Rokita w najnowszym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Gdyby podobny plan rządu został ujawniony w latach 90. poprzedniego wieku, albo nawet w ciągu poprzedniej dekady, z hukiem ogłoszono by „finis Poloniae”. Ekonomiści zagrzmieliby zgodnym chórem, i to bez względu na wyznawaną orientację naukową. Media spłynęłyby łzami nad losem, jaki spotyka nasz kraj. Zaś Europa, Fundusz Monetarny i światowa finansjera grzmotnęłyby tak głośno, że w Polsce wybuchłaby panika, co teraz dalej z nami będzie... To, że rząd musiałby upaść z dnia na dzień – to już tylko prosta konsekwencja wszystkiego, co by się działo. I proszę sobie nie wyobrażać, że w tym opisie zdarzeń, które (Bogu dzięki) nigdy nie nastąpiły, jest jakaś felietonowa przesada, albo myślowa egzaltacja. Wiem co mówię, bo nie tylko żyłem w tamtych czasach, ale także parąłem się podówczas czynną polityką.

O jaki plan rządowy chodzi? Ano o taki, że w ciągu dwóch lat (czyli obecnego i następnego roku) rząd dopisze sobie księgowo do „prawdziwych” dwóch rocznych budżetów państwa, biorących się z podatków, jeszcze trzeci – wirtualny, oczywiście na poczet długu. I w ten sposób, niegdysiejszy bankier – Mateusz Morawiecki, niczym Aleksander przecinający mieczem nierozwiązywalny węzeł w Gordionie, z dnia na dzień rozprawi się z widmem

*W stosunku do dochodu narodowego dług Francji sięgnie w tym roku 110%, Hiszpanii 115%, zaś Italii 160%. Przypomnieć warto, że teoretycznie obowiązujące wciąż w Unii prawne reguły traktatu z Maastricht dopuszczają jako bezpieczne maximum – 60%*

braku pieniędzy w budżecie, z którym wszyscy dotąd zmagali się, ale polegli. To jednak co przykuło moją uwagę – to fakt, iż publiczne ujawnienie takiego planu w ostatnim tygodniu września 2020 roku nie wzbudziło zainteresowania psa z kulawą nogą, ani w

Polsce, ani w Europie. No, po prawdzie, jedna krajowa gazeta, patrząca na rzecz staroświecko, zrobiła z tego czołówkę (kto dziś czyta czołówki gazet!) i bąknęło coś tam pod nosem kilku zatwardziałych emerytowanych monetarystów. A na łamach innej, baaardzo opozycyjnej gazety odezwała się „ekonomiczna młodzież”, co nie dziwi, skoro rzeczywistość wywraca jej właśnie do góry nogami wszystko to, czego jej uczono na SGH i w ekonomicznych akademiach. I tylko śp. wicepremier Lepper w grobie się pewnie musi przewracać, bo już dawno temu był bodaj jedynym, który powtarzał, że tak po prostu można, ale w tamtych czasach brano go za szaleńca.

Tu trzeba oczywiście dodać, iż bezkarność postępowania polskiego rządu ma swe źródło w zewnętrznym otoczeniu. Po prostu inni w tej mierze zachowują się jeszcze gorzej i nawet Berlin, godząc się po latach zmagania na wspólny europejski dług, ogłosił co najmniej częściową kapitulację. Zaś budżetowe rozpasanie śródziemnomorskiego Południa, od zawsze nienawidzącego teutońskiej idei dyscypliny finansów, przekroczyło już w ogóle ludzkie

pojęcie. W stosunku do dochodu narodowego dług Francji sięgnie w tym roku 110%, Hiszpanii 115%, zaś Italii 160%. Przypomnieć warto, że teoretycznie obowiązujące wciąż w Unii prawne reguły traktatu z Maastricht dopuszczają jako bezpieczne maximum – 60%. W zasadzie ten jeden casus winien dla średnio roztropnego człowieka rozstrzygać w kwestii tego, co naprawdę warto jest tzw. „prawo europejskie” i wszystkie trybunały stojące na jego straży. Ale to dygresja, nie o tym teraz jest mowa. Dla nas jest ważne to, że w takim europejskim kontekście dopisanie sobie przez Polskę raz na dwa lata tylko jednego wirtualnego budżetu, robi w świecie wrażenie rozropnej oszczędności. Stąd właśnie bierze się mur niezrozumienia, jaki otacza dziś starego profesora Balcerowicza, donkiszoteryjnie walczącego o swoje niegdysiejsze pryncypia. A także zewnętrzne wyrazy uznania dla stanu polskich finansów płynące z międzynarodowych instytucji finansowych, czy tzw. „agencji ratingowych”, konsekwentnie dających Polsce świetne biznesowe oceny.

*Nawet Berlin, godząc się po latach zmagania na wspólny europejski dług, ogłosił co najmniej częściową kapitulację*

Logicznie rzecz biorąc, są tu tylko dwie możliwości. Albo dodawanie do wydatków państwa trzeciego wirtualnego budżetu raz na dwa lata

jest polityką jedynie dziś możliwą, a rząd i tak wykazuje się tu pewnym rozropnym samoograniczeniem. Albo też polski rząd tak bardzo pozazdrościł finansowej swawoli romańskiemu Południu, że postanowił (zgodnie ze znaną polityczną teorią) uczynić nasz kraj bardziej „rzymskim” i wyraźniej „śródziemnomorskim”. A to by znaczyło, że uprawia w gruncie rzeczy polityczny hazard, którego skutki (prawdopodobnie jak najgorsze) zobaczymy i odczujemy na własnej skórze za jakiś czas, jeśli tylko nie pomrzemy teraz od zarazy. Niestety rozstrzygnięcia tego dylematu nie może nam dać żadna nauka

ekonomii, która jak wiadomo jest uwikłana w swoje aksjologiczne założenia. I nie dostarczy go również zdrowy rozsądek, podpowiadający tu bardzo przekornie, iż realna polityka miała zawsze tę diabelską moc relatywizowania wszelkich, na pozór zdroworozsądkowo brzmiących prawd. Rzecz tkwi chyba w rozstrzygnięciu tego, co naprawdę w polityce znaczy być hazardzistą. Czy jest się nim tylko wtedy, gdy obłąkany hazard uprawia się w otoczeniu graczy roztropnych, pragnąc ich ograć i dowieść w ten sposób bezsensu ich rozumnego przywiązania do zasad? Tak od lat czynią w Unii kraje śródziemnomorskiego Południa, a obecny kryzys nie jest tu żadną nowością. Ale co wówczas, gdy hazardzista wchodzi do politycznego kasyna, gdzie do gry zasiedli już sami hazardziści? Czym wówczas staje się polityczna roztropność? Próbą trzymania się zasad wbrew całemu oszalałemu światu? A może raczej machnięciem ręki na zasady i skokiem w hazard, skoro pośród samych hazardzistów ostrożny asekurant jest przecież z góry na straconej pozycji.

*Jan Rokita*

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczdzkiej wsi”